

Działania Polskich Sił Zbrojnych we Włoszech nieodmiennie kojarzą się z najbardziej krwawą bitwą o Monte Cassino. Jednak żołnierze II Korpusu nie byli pierwszymi, którzy płacili daninę krwi na włoskiej ziemi. W momencie gdy nad klasztorem załopotał ułański proporczyk ze wzgórza San Angelo, schodziły resztki najbardziej elitarnej formacji w ówczesnym Wojsku Polskim – komandosów, oddziału, który już kilka miesięcy wcześniej stoczył bitwę w Pescopennataro, wypełniał zadania patrolowe i ponosił pierwsze straty.

**M**imo iż komandosi stali się wdzięcznym tematem dla kronik filmowych PSZ i materiałów prasowych, to szczegóły pierwszego okresu walk we Włoszech zostały zawarte jedynie w kilku rzadkich publikacjach. Zaginęły dzienniki bojowe kompanii, a podstawowymi źródłami stały się wspomnienia i zapiski por. Macieja Zajązkowskiego, autora artykułów w „Wypadzie”, gazecie wydawanej przez komandosów oraz innych weteranów publikujących swe wspomnienia po wojnie w zbiorze reportaży pt. „Zielony Talizman”.

Jesienią 2006 roku Grupa Rekonstrukcji Historycznej 1. Samodzielnej Kompanii „Commando” ze Swarzędza wyruszyła wspólnie z 20. Drużyną Harcerską „Lotna” im. mjr. Władysława Smrokowskiego trasą związaną z historią polskich „zielonych beretów”. Oprócz odwiedzin Monte Cassino i Bolonii, po wielogodzinnej podróży wzdłuż rzeki Sangro dotarli do miejscowości Pescopennataro. W samej wiosce powstało niewiele nowych domów, w centrum wzrok przyciągał jedynie pomnik wystawiony ku czci poległych mieszkańców Pesco. Gdy rekonstruktorzy umundurowani w battle-dressy wyciągnęli szkice, zdjęcia i rozpoczęli poszukiwanie dawnych miejsc, wśród ludności wioski zapanowało poruszenie. Po chwili kilku starych mieszkańców widząc odznaki na mundurach, z uśmiechem salutowało wołając „Polacco!”. Czyżby tak długo pamiętali o polskich żołnierzach? Co wydarzyło się w niewielkiej górskiej miejscowości, i kim tak naprawdę byli komandosi?

### Początki Commando

Po klęsce Francji w 1940 roku, brytyjskie dowództwo odczuwało silną potrzebę zaakcentowania woli walki i podbudowania nadwątlonych morale własnych obywateli. Wykorzystując doświadczenia z dawnych wojen (m.in. antynapoleońskiej partyzantki w Hiszpanii i wojny burskiej), w których niejednokrotnie dużo słabsze liczebnie oddziały wiązały w walce całe regularne

armie, opracowano nową koncepcję działania. Próbą generalną stało się zaatakowanie, niewielkim oddziałem, jednej z placówek na okupowanym wybrzeżu francuskim. Sytuacja w uzbrojeniu wojsk brytyjskich była tak fatalna, że uczestniczący w wypadzie ochotnicy z Królewskiej Piechoty Morskiej korzystali z jedynych znajdujących się na wyspach kilkunastu pistoletów maszynowych Thompson, które po sukcesie operacji natychmiast zwrócono do centralnego magazynu. Ten pierwszy udany epizod zapoczątkował stworzenie specjalnych od-



działów Commando. Typowymi zadaniami nowo utworzonych jednostek miały stać się operacje wymagające skrytego przedostania się za linie wroga (za pomocą desantu powietrznego, morskiego lub prześlizgnięcia się pomiędzy posterunkami), zdobycia informacji o wrogich stanowiskach i przeprowadzenia dywersji poprzez np. zniszczenie wyselekcjonowanych celów za pomocą ładunków wybuchowych lub zlikwidowania wrogiego dowództwa. Komandosi mieli występować we własnych mundurach, aby w przypadku schwytania zostać potraktowanymi zgodnie z Konwencją Genewską. Na ramieniu każdego z nich pojawił się napis „Commando” wraz z numerem jednostki, oraz oznaka formacji: albatros, Thompson i kotwica symbolizujące zasadę współdziałania trzech rodzajów wojsk: lotnictwa, armii lądowej i marynarki. W krótkim czasie, po utworzeniu jednostek Commando, o żołnierzach w zielonych beretach zaczęło być głośno. Uczestniczyli w rajdach na zakłady



produkcyjne w Norwegi, działali w Afryce, w Azji i na wyspach Morza Śródziemnego. A w najczęściej „odwiedzanej” przez nich Francji, na słupach ogłoszeniowych pojawiły się plakaty z wizerunkiem charakterystycznego odcisku buta używanego przez komandosów wraz z ofertą nagrody za dostarczenie informacji o podobnych śladach. Niemcy nauczyli się doceniać te niewielkie oddziały zadające często dotkliwe, w stosunku do

użytych sił, straty, dezorganizujące zaplecze gospodarcze i wojskowe.

We wrześniu 1942 roku, w siedzibie polskiego 2. batalionu strzelców, stacjonującego w szkockim mieście Cupar, zapanowało niezwykle poruszenie. Dowódca 4. kompanii kpt. Władysław Smrokowski wprost ze Sztabu Naczelnego Wodza przywiózł elektryzującą nowinę. Z wyselekcjonowanych spośród żołnierzy batalionu ochotników miała powstać jednostka komandosów! Dla spragnionych kontaktu z wrogiem, przebywających już ponad drugi rok na Wyspach, polskich żołnierzy była to wspaniała wiadomość. Takiego rodzaju formacja miała niewątpliwie największe szanse na szybkie wejście do akcji, w związku z czym nie narzekano na brak kandydatów. Wkrótce rozpoczęto organizowanie oddziału, którego pełna nazwa brzmiała – 1. Samodzielna Kompania Commando. Polska jednostka organizacyjnie weszła jako 6. kompania w skład 10. Międzyalianckiego Commando



# Bitwa o Pesco

## – polscy komandos w Włoszech

LUKASZ ORLICKI



pod dowództwem ppłk Dudleya S. Listera (6 Troop, No. 10 Inter – Allied Commando). W skład „10-ty”, oprócz polskiej, miały wejść kompanie składające się z żołnierzy przeróżnej narodowości, m.in. francuska (ostatecznie powstały dwie), belgijska, holenderska, norweska, jugosłowiańska oraz najbardziej chyba niezwykła kompania „brytyjska” złożona z... obywateli niemieckich i austriackich w większości żydowskiego pochodzenia (wszyscy jej członkowie posiadali dokumenty na angielsko brzmiące nazwiska oraz przydzielone „rodziny”, do których w przypadku schwytania do niewoli mogli pisać listy). Specyfikę dowodzenia tak niezwykłym oddziałem dobrze chyba odzwierciedlają słowa ppłk Listera, który wspominał po latach: *„Wiele kłopotów sprawiała wielojęzyczność Commando. Francuskie i belgijskie nazwiska były wystarczająco trudne do wymówienia, nieco trudniejsze były holenderskie. Kiedy przybyła kompania norweska, wydawało się, że osiągnęliśmy szczyt trudności, ale dopiero Polacy! (...) Dyscyplina była dobra i nasi obcokrajowcy cieszyli się dużą sympatią swych gospodarzy (poszczególne żołnierze mieszkali w owym okresie w prywatnych mieszkaniach rozrzuconych na terenie całego miasta – przyp. Ł.O.), gdziekolwiek kwaterowali. Szczególnie przychylnie były nastawione walijskie dziewczęta, które zawsze widziano w towarzystwie międzyalianckiego Commando. Zdarzały się nawet wypadki, że żołnierze brytyjscy usiłowali imitować obcy akcent, by mieć u dziewcząt takie same szanse jak ich zagraniczni rywale. Polacy byli chyba najweselsi i najpogodniejsi. Można było mieć pewność, że zawsze znajdą jakiś rodzaj*

*śliwownicy czy innej nalewki, która zwali z nóg najmocniejszego”.*

Polacy, którzy trafili do Commando, stanowili istną mozaikę charakterów i ludzkich losów. Znaleźli się tu zarówno górnicy z Brazylii i Francji, emigranci z Argentyny, ochotnicy ze Stanów Zjednoczonych, jak i przedzierający się przez zamknięte granice uciekinierzy z Polski, ludzie o wyższym wykształceniu i mający trudności w poprawnym posługiwaniu się językiem polskim, weterani Kampanii Obronnej 1939 roku, walk we Francji i Norwegii, wiarusy Legii Cudzoziemskiej bijący się jeszcze przed wojną w Afryce, jak i ledwo wchodzący w wiek męski nowicjusze mający styczność z bronią dopiero od kilku miesięcy. Wszystkich łączyła wola walki oraz nieprzeciętny zmysł do „radzenia sobie” w każdej sytuacji, co czasem powodowało humorystyczne sytuacje. Jedno z takich wydarzeń opisał po latach oficer administracyjny I. SKC Tadeusz Monsior. Pewnego dnia otrzymał on rozkaz od kpt. Smrokowskiego zorganizowania żwiru, którym można by było osuszyć stale zamoknięty plac przed siedzibą dowództwa kompanii. Aspirant Monsior (używający stopnia francuskiego sprawiającego nieco kłopotu w kontaktach z Brytyjczykami) przy pomocy „kilku głębszych” szybko uzgodnił z najbliższym urzędnikiem drogowym możliwość pobrania pewnej ilości żwiru z pobocza drogi, pod warunkiem, że będą to „dead stones”, czyli „martwe kamienie”, jak określano wymiecione z drogi na pobocze żwir. Oczywiście komandos zamiast kłopotliwego i pracochłonnego zbierania zlepionych asfaltem „dead stones” pobrali leżący równiutko w przyzmac świeży żwir przeznaczony do wykorzystania przez drogowców. Placyk szybko zasypano, a aspirant otrzymał pochwałę. Jednak po kilku dniach w dowództwie zameldował się ten sam dróżnik ze skargą i rachunkiem na 297 funtów za wywieziony materiał. Słabo znający język angielski kapitan Smrokowski, któremu w konwersacji pomagał specjalizujący się raczej w barowej angielszczyźnie podoficer służbowy, wyjaśnił urzędnikowi pomyłkowo, że odpowiedzialny za „martwe kamienie” aspirant Monsior sam jest „martwy

jak kamień”. Dróżnik skierował swe kroki do wyższej instancji a nieszczęsny rachunek za żwir krążył pomiędzy instytucjami jeszcze kilka lat zanim dotarł do demobilizujących się komandosów po wojnie. Polscy żołnierze szybko przekonali się jak specyficznym „rodzajem broni” stali się komandos.

W tej elitarniej formacji panowały niezwykle w stosunku do innych struktur wojskowych braterskie, a właściwie koleżeńskie stosunki. Nie wprowadzano sztucznej bariery pomiędzy korpusem oficerskim a szeregowcami, przez co zwykłym widokiem stawały się wspólne wizyty w barach, kinach czy klubach, gdzie przy jednym stole siedzieli szeregowcy i porucznicy, a nawet dowodzący całym 10. Commando pułkownik. Przyjacielskie pogawędki poza służbą, spotkania w barach, nie rzutowały jednak na dyscyplinę i szacunek wobec przełożonych. Dużym zaskoczeniem dla Polaków stała się przemowa dowódcy 10. Międzyalianckiego Commando wygłoszona podczas pierwszej wizyty w polskiej kompanii, który wprost stwierdził, że gdyby spotkał bijącego się polskiego komandosa z żołnierzem brytyjskim, bez wahania pospieszyłby z pomocą Polakowi, ponieważ do tego zobowiązuje braterstwo broni tej formacji. Kary stosowano jedynie dwie – okresowe wstrzymanie żołdu i wydalenie z jednostki. W polskiej kompanii drugiej kary nie zastosowano ani razu.

Ten duch demokracji i równości znakomicie odpowiadał ochotnikom skierowanym na mordercze szkolenie w Achnacarry, Ośrodku, w którym wysiłek fizyczny, wykształcenie odporności, testowanie odwagi i zręczności doprowadzono do maksimum. Walkę wręcz, wspinaczkę, osvajanie z ogniem broni palnej, minami, przeplatano długimi marszobiegami z pełnym oporządzeniem, nocnymi przeprawami przez rzeki, jeziora i bagna. Pośród ćwiczących czasem wybuchały specjalnie założone ładunki,

*Szkolenie w Wielkiej Brytanii, widoczne charakterystyczne nakrycia głowy komandosów tzw. mycki.*





a nad głowami i pod nogami łomotały serie z broni maszynowej. Szkolenie w ośrodku znakomicie podsumowała powtarzana wśród brytyjskich komandosów anegdota o jednym z kolegów, który po stoczeniu wyczerpującej, krwawej bitwy z Niemcami miał powiedzieć do towarzyszącego mu oficera „było ciężko prawie jak w Achnacarry”. Polska kompania po wytrzymaniu ostrej szkoły szkockiego ośrodka, jeszcze przez kilka miesięcy była poddawana kolejnym treningom już we współdziałaniu z oddziałami komandosów oraz innymi rodzajami broni – lotnictwem i marynarką. Ćwiczone zarówno ciche, nocne lądowanie z łodzi desantowych, wspinaczkę na skalne ściany wyrastające wprost z wody, jak i przeprowadzane ze wsparciem artyleryjskim szturm na umocnione wybrzeża. Przeprowadzano spadochronowe zrzuty, trenowano rozmaite warianty skrytego podejścia do wroga, kilkudniowe górskie marsze, po których grupa bojowa miała przeprowadzić pozorowane ataki na uśpione walijskie miasteczka, i wiele innych elementów przygotowujących żołnierzy do przeżycia za liniami wroga (jedno z najbardziej nietypowych szkoleń było prowadzone przez zmobilizowanego na czas wojny kasjarza, wprowadzającego żołnierzy w tajniki otwierania kas pancernych i różnego rodzaju zamków).

Po zakończeniu pełnego treningu, kompania liczyła ponad 90 szeregowych, trochę przekraczając etat przewidujący 86 podoficerów i szeregowych oraz 7 oficerów. Organizacyjnie dzieliła się na trzy plutony: dowodzenia oraz dwa strzeleckie, poczet dowódcy kompanii, drużynę moździerzy (kal. 50,8 mm), gospodarczą i łączności. W skład każdego plutonu wchodził strzelec wyborowy – obserwator i dwie drużyny żołnierzy. W warunkach bojowych drużyna gospodarcza obsługiwała rkm Bren, a kierowcy stanowili obsługę granatnika przeciwpancernego PIAT. W sierpniu 1943 r. dowództwo brytyjskie, pod wrażeniem doskonałych wyników szkolenia, wysłało do akcji polską kompanię jako pierwszą. Polacy wyruszyli do Algieru, gdzie koncentrowano tzw. wydzielony oddział 10 Commando. Po kilkumiesięcznym pobycie w Afryce Północnej komandosów skierowano do Włoch. 1 grudnia 1943 roku, jako pierwsza lądowa polska jednostka, wylądowali na Półwyspie Apenińskim w Taranto.

## Włochy – pierwsza krew i bitwa o Pesco

Kompania została organizacyjnie wcielona w skład 2. brygady do zadań specjalnych (2 Special Service Brigade) i skierowana bezpośrednio na linię frontu pod rozkazy

56. pułku rozpoznawczego brytyjskiej 78. Dywizji Piechoty do miejscowości Capracotta (1420 m npm). Na miejscu kompania miała natychmiast „z marszu” przeprowadzić serię patroli w trudnej górskiej okolicy okalającej dolinę rzeki Sangro. Była to ciężka, żmudna i wyczerpująca służba polegająca głównie na długich przemarszach poprzez „ziemię niczyją”, organizowaniu zasadzek, zdobywaniu informacji o pozycjach niemieckich, kierowaniu na odkryte placówki ognia brytyjskiej artylerii i zwalczaniu kontrpatroli wysyłanych w ten sam rejon przez wroga. Jednym z większych niebezpieczeństw okazały się różnego rodzaju pola minowe rozsiane w pobliżu niemieckich pozycji. Polscy żołnierze szybko się o tym przekonali. Podczas drugiego patrolu 15 grudnia, jedynie spostrzegawczość kapitana Smrokowskiego i poranna rosa pokrywająca rozciągnięte na miejscu przemarszu cieniotkie druciki pozwoliła uniknąć wysadzenia całego pododdziału w powietrze. Ubezpieczone, ostrożne podejścia, trudne warunki klimatyczne oraz nieustanne napięcie wycieczek w nieznane stały się chlebem powszednim polskiej kompanii. W drugim patrolu poległ pierwszy polski komandos – ochotnik ze Stanów Zjednoczonych, który zrezygnował ze służby w armii amerykańskiej ze względu na swoje polskie pochodzenie, st. strz. Franciszek Rogucki. Zginął gdy na widok

nie z trzema innymi cywilami miał wskazywać Niemcom drogę podczas, planowanej na noc z 21 na 22 grudnia, akcji. Okazało się, że znajdujące się pomiędzy Capracottą i Agnone stanowiska brytyjskiej artylerii mają zostać zniszczone przez specjalnie sprowadzany batalion strzelców alpejskich (około 200-250 żołnierzy). Niemiecka piechota górską otrzymała również zadanie wcześniejszego zniszczenia niewielkiego oddziału alianckiego w Pesco, czyli rozbicia polskiej kompanii! Dowództwo 78. Dywizji Piechoty spodziewając się, że batalion niemiecki przełamie w ciągu nocy opór Polaków rozpoczęło ściąganie odwodowych oddziałów w rejon walk, licząc, że uda się ocalić przynajmniej Capracottę. Polską kompanię mogli wesprzeć jedynie artylerzyści skazani, w przypadku zlikwidowania komandosów, na zagładę. Pescopennataro było chronione od północnego zachodu naturalną barierą w postaci skalnej grani,



Polskie „zielone berety” we Włoszech.

### Ćwiczenie strzeleckie.



pierwszego w życiu niemieckiego żołnierza rzucił się do ataku na umocnione stanowisko. Z zagrożonej ostrzałem pozycji wyniósł go dowódca I plutonu por. Andrzej Czyński. Obydwaj otrzymali pierwsze w kompanii krzyże *Virtuti Militarii*.

18 grudnia 1943 roku kompania została skierowana do leżącego około 1200 m npm. Pescopennataro z zadaniem objęcia kontrolą ponad 80 kilometrowego górzystego odcinka. Trzy dni później do stacjonującego w Capracotta dowództwa 56. pułku rozpoznawczego zgłosił się Włoch z interesującymi informacjami. Według jego relacji współ-

przez którą biegła wąska, zaminowana dzień wcześniej ścieżka. Najgorzej przedstawiała się sytuacja od strony południowej, gdzie nad miejscowością dominował położony na wzniesieniu cmentarz. Dowódca kompanii zdecydował się na przyjęcie obrony okrężnej, wystawiając od strony południowej II pluton, od wschodniej pluton dowodzenia wraz z Brenem drużyny gospodarczej, a od pół-

nocnej – dwie drużyny I plutonu, które zajęły pozycję w głębi miejscowości. Cała ludność cywilna została zgromadzona w niewielkim kościółku w centrum wioski. Obsadzenie stanowisk zakończono około 21.30!

Taktyka nadciągającego oddziału strzelców alpejskich była prosta. Niemiecki dowódca planował dotrzeć niepostrzeżenie na bezpośrednią odległość do polskich pozycji a następnie jednoczesnym uderzeniem z trzech kierunków opanować miejscowość. Około 23.00 wystawiony na najbardziej wysuniętym stanowisku komandos z I plutonu usłyszał ostrożne kroki, a następnie



ujrzał sylwetki w charakterystycznych niemieckich hełmach. Chwilę później załomotały pierwsze serie z Breny. Niczym echo odezwał się drugi polski rkm obsługiwany przez drużynę gospodarczą, którego pociski przepędziły z przedpoła nacierającą od strony wschodniej kolejną grupę Niemców. Najtrudniejsza sytuacja zarysowała się na pozycjach II plutonu. Strzelcy alpejscy atakowali od strony wzniesienia i znajdującego się na nim cmentarza. Dzięki nachyleniu terenu w kierunku pozycji zajmowanych przez Polaków mogli atakować w dół, korzystając jednocześnie z osłony cmentarnego muru. Dodatkowo za najbardziej okazałymi grobowcami Niemcy ułokowali wspierające natarcie karabiny maszynowe. Gdy okazało się, że pierwotny plan ataku z zaskoczenia zakończył się niepowodzeniem, niemiecki dowódca

*Uliczki miejscowości, jesień 2006 roku.*



*Centrum Pescopennataro, styczeń 1944 roku.*



przegrupował swoje siły i po kilkunastu minutach ponownie uderzył na wszystkich kierunkach. Siły nacierających znajdowały się na ogół na tyle blisko pozycji polskich, że uniemożliwiała to użycie artylerii brytyjskiej stacjonującej kilka kilometrów dalej. Komandosy wykorzystywali jedynie własne, dwucalowe moździerze wstrzeliwujące się pomiędzy atakujące tyraliery. Najbardziej zacięte walki rozegrały się ponownie na kierunku bronionym przez II pluton. Rzućcane przez Niemców granaty same toczyły się po pochyłości wprost pod nogi Polaków, a nierówny teren umożliwiał osłonę atakujących. Strzelcy alpejscy należeli do żołnierzy najlepiej wyszkolonych jednostek niemieckich, dobrze wyekwipowanych i dumnych z przynależności do elitarnych formacji piechoty górskiej. Przez następne godziny kilkakrotnie liczniejszy oddział z zaciętością atakował zabudowania Pesco, szczękała broń maszynowa, wybuchały granaty rzućcane przez obydwie strony i eksplodowały miotane przez moździerze pociski. Jednak nigdzie nie udało się w głąb polskich pozycji. Przez cały czas od strony skupionych w kościele włoskich cywili słychać było religijne pieśni, przerażone okrzyki i lament kobiet. W pewnym momencie dowódca niemiecki podjął decyzję o głębszym cofnięciu się i przegrupowaniu

przed ponownym szturmem. Wykorzystali to brytyjscy artylerzyści, kierowani przez współpracujących z Polakami oficerów – obserwatorów i obłożyli ogniem dział przedpole miejscowości. Nawała artyleryjska trwała przez prawie godzinę utrudniając przygotowanie ostatecznego szturmu. Po godzinie trzeciej rozpoczęły się ponowne niemieckie ataki, w których strzelcy alpejscy ponownie użyli granatów i karabinów maszynowych próbujących związać polskie stanowiska. Jednak według dowódcy plutonu dowodzenia por. Macieja Zajączkowskiego atakom nie towarzyszyła już poprzednia furia i zapal. O godzinie 4 nad ranem umilkły ostatnie wystrzały, batalion piechoty górskiej musiał wycofać się nie wykonując żadnego elementu swojego zadania, zabierając jednak ze sobą wszystkich rannych i zabitych. Po opadnięciu

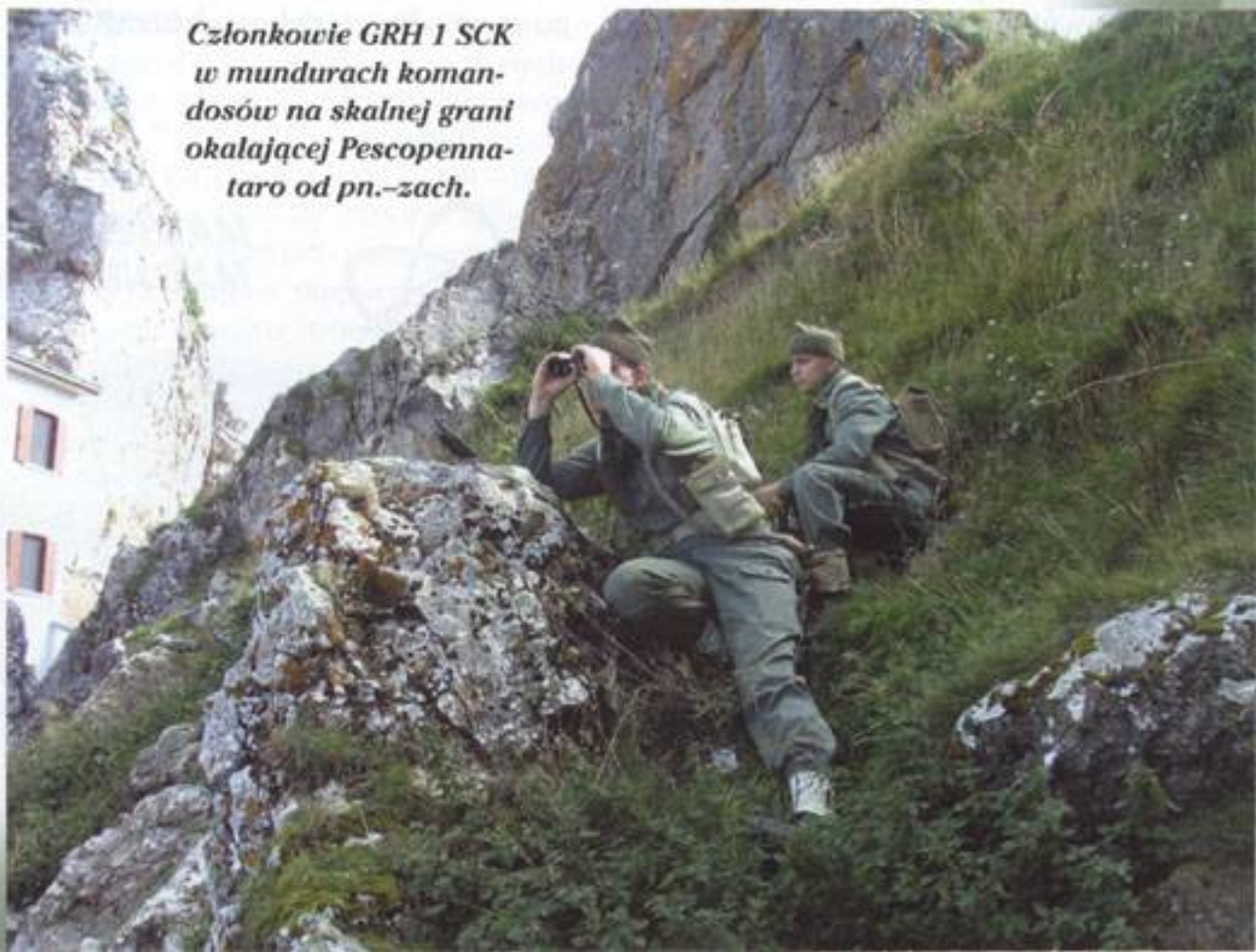
emocji okazało się, że żaden z żołnierzy w zielonych beretach nie został zabity! Trzech odniosło jedynie lekkie rany. Było to zdumiewające biorąc pod uwagę natężenie ognia i zaciętość szturmów. Początkowo trudno było policzyć straty strony niemieckiej, pole bitwy pokrywały strzępy opatrunków i stosy łusek. Dopiero uzyskane później informacje pozwoliły ustalić, że wycofująca się piechota górską niosła z sobą trzech zabitych i ponad dwudziestu rannych! W ten sposób na dwa dni przed wigilią 1943 roku pierwszy polski oddział na ziemi włoskiej przeszedł chrzest bojowy w walnej bitwie, zadając trzykrotnie liczniejszemu wrogowi o wiele większe straty.

### **Zadanie dla komandosa?**

Następne dni po bitwie o Pesco przyniosły komandosom... głód. Kilka dni po przybyciu irlandzkiej kompanii piechoty, która miała wzmocnić placówkę cały rejon został odcięty przez znaczne opady śniegu. Mimo ciężkich warunków kontynuowano patrole, w pewnym okresie zmniejszając racje żywnościowe o ¼. Głód stał się coraz wyraźniejszym zagrożeniem. Sytuację próbowano poprawić przeprowadzając kilkakrotnie zrzućcane spadochronowe, które wpadały niestety częściowo w ręce Niemców. Ratowano się wykorzystując pomysłowość niektórych z komandosów, penetrujących zabudowania Pesco, w których mieszkańcy poukrywali żywność. Dopiero 9 stycznia pracujący na zmianę z Irlandczykami komandosy, zdołali przekopać długi tunel w zaspach. Dzień później cała kompania otrzymała rozkaz opuszczenia Pesco i udania się w kolejny rejon walk.

W styczniu 1944 roku brytyjski 10. Korpus otrzymał zadanie sforsowania rzeki Garigliano i zajęcia łańcucha górskiego

*Członkowie GRH 1 SCK w mundurach komandosów na skalnej grani okalającej Pescopennataro od pn.-zach.*





w okolicy Monte Aurunci. I. Samodzielna Kompania Commando została przydzielona do 56. Dywizji Piechoty otrzymując rozkaz podążenia podczas przeprawy za oddziałami brytyjskiej piechoty, aby po osiągnięciu przez nią rejonu wzgórz, za drogą pomiędzy miejscowością Suio a wzgórzem Mass. Tibaldi, przeniknąć za linię frontu oraz dokonać rozpoznania i dywersji w rejonie Castelforte, gdzie powinno stacjonować dowództwo niemieckiej 71. Dywizji Piechoty. Po usłyszeniu treści zadania wśród polskich żołnierzy zapanała autentyczna radość, wydawało się, że nareszcie kompania całością sił będzie mogła wykonać typowe „komandosowe” zadanie. Niestety, rozpoczęte 17 stycznia forsowanie rzeki i natarcie w głąb niemieckich pozycji zaczęło szwankować. Posuwający się przed polską kompanią Queens Regiment napotkał niespodziewany opór, a mający wskazywać drogę Polakom brytyjscy żołnierze zginęli lub zgubili się w ciemnościach. W pewnym momencie okazało się, że kompania znajduje się na pierwszej linii, bez osłony innych oddziałów. Rozkazem dowódcy brygady komandosi skierowani zostali do natarcia na wzgórze, będące pierwotnym celem całego batalionu. Przez noc i dzień następny komandosi atakowali i oczyszczali kolejne wzniesienia odpierając coraz gwałtowniejsze kontrnatarcia niemieckie. Szczególnie zażarta bitwa stoczona została przez patrol 14 komandosów pod dowództwem zastępcy Kpt. Smrokowskiego, rtm. Stanisława Wołoszowskiego. W zaciętych starciach oprócz broni maszynowej, pistoletów i granatów dochodziło do walki wręcz. Polscy żołnierze po raz pierwszy użyli sztyletów, którymi posługiwali się dotąd jedynie na treningach. W trakcie jednej z kilku takich potyczek, pochodzący z Poznania snajper I plutonu st/ strzelec Zenon Kaszubski zatopił ostrze sztyletu w ciele jednego z Niemców mierzącego do innego ranego komandosa. Długo po walce okazało

się, że w kieszeni zabitego odnaleziono list... w języku polskim od mieszkającej w Poznaniu matki. Tragicznym zbiegiem okoliczności dwóch poznaniaków stoczyło na włoskiej ziemi bratobójczą walkę. Już wkrótce na niewielki patrol, nękany dodatkowo ogniem snajperów, natarła cała niemiecka kompania, zginął rtm. Wołoszowski i dwóch innych polskich żołnierzy, kilku było rannych. Dopiero wściekły atak por Zalewskiego z II plutonem zniszczył niemieckie kontrnatarcie. W pobliżu niewielkiego domku pozostało czterech zabitych komandosów oraz około trzydziestu żołnierzy Wehrmachtu. Komandosom udało się oczyścić teren wzgórz likwidując wszystkie siły wroga, jednak w wyniku ostrzału i eksplozji min dwudziestu dwóch Polaków zostało rannych, stanowiło to wraz z zabitymi 1/4 stanu kompanii, osłabionej stratami z okresu patroli nad Sangaro. Ostatecznie do przeprowadzenia dywersji poza liniami wroga skierowano zamiast pierwotnie przewidzianej całej kompanii, wydzielony ośmioosobowy oddział pod dowództwem podchorążego Stanisława Pałacha.

Komandosi jeszcze w dzień przekroczyli linie niemieckich stanowisk, korzystając z każdej możliwej zasłony, często czołgając się i przedzierając przez najmniej dostępne tereny o zmiernym dotarciu do zabudowań celu – miejscowości Coreno. Na miejscu zidentyfikowali ośrodek łączności i założyli ładunki wybuchowe, które eksplodowały po kilku godzinach. W drodze powrotnej zasztyletowali obsługę ciężkiego moździerza, zlikwidowali łącznika z dokumentami i schwytali dwóch jeńców: sprawdzającego linię łączności szeregowca, który okazał się Ślązakiem oraz oficera - obserwatora artyleryjskiego. Jedyna typowa dla jednostek Commando akcja przeprowadzona przez Polaków została wykonana z pełnym sukcesem bez strat własnych. Kilka godzin po powrocie oddziału podchor. Pałacha

kompania polskich komandosów została zluzowana przez żołnierzy Queens Regiment i odmaszerowała w uszczuplonym składzie na tyły, przechodząc do odwodu początkowo dywizji a później korpusu. Ostatecznie kompania znalazła się w szeregach II Korpusu Polskiego, jednak ciągle formalnie podlegając brytyjskiemu dowództwu II brygady do zadań specjalnych. Już wkrótce ponownie znaleźli się w ogniu walki, tym razem wypełniając zadania „zwykłej” piechoty pod Monte Cassino, gdzie ponieśli olbrzymie straty, ale to już inna historia... □

**Zdjęcia: Archiwum GRH i SKC**

Dziękuję za pomoc Przemysławowi Kapturskiemu z Grupy Rekonstrukcji Historycznej I SKC ze Swarzędza

#### LITERATURA:

1. *Wiadomości „Wypad” koła żołnierzy 2. baonu grenadierów i komandosów „Kratkowane lwiątko”, rok VII, nr 27*
2. *Derecki M., „Na ścieżkach polskich komandosów”, Lublin 1980*
3. *„Zielony Talizman”, Reportaże z dziejów I. Samodzielnej Kompanii Commando 1942-1944. No. 10 Commando – 6th Troop. Bolonia 1946.*
4. *Zajczkowski M. „Sztylet komandosa”, Warszawa 1991*

#### Przypisy:

<sup>1</sup> Godzina zajęcia pozycji została podana na podstawie opracowania, sporządzonego przez dowódcę plutonu dowodzenia Macieja Zajczkowskiego, złożonego w Instytucie Sikorskiego w Londynie. Jednak w książce „Sztylet Komandosa” jego autorstwa podaje on godzinę 20.30 jako moment rozpoczęcia walk. W opracowaniu „Na ścieżkach polskich komandosów” podawana jest godzina 19.30. Z uwagi na to, że wszędzie określa się moment otrzymania informacji przez Brytyjczyków jako wieczór i biorąc pod uwagę czas poświęcony na przesłuchanie Włocha, najprawdopodobniej informacja dotarła do polskiej kompanii około godziny 20.30, czyli moment rozpoczęcia walki bardziej odpowiada godzinie 23.00.